

Olsztyn przed nowym etapem

TEATR IM. STEFANA JARACZA w Olsztynie wchodzi w nowy okres swojej działalności. Tak zwykle bywa, gdy zmienia się dyrektor. Dyr. Krzysztof Rościszewski obejmuje od jesieni kierownictwo artystyczne Teatru im. Wyspiańskiego w Katowicach, na jego miejsce przychodzi dyr. Andrzej Rozhin z Gorzowa. Miejmy nadzieję, że teatr olsztyński będzie równie dobrym teatrem, ale na pewno innym. Tak zwykle bywa jeśli zespołem kieruje człowiek o określonej indywidualności artystycznej. A można to powiedzieć zarówno o dyr. Rościszewskim jak i o dyr. Rozhinie.

Mówi się często, że teatr w mniejszym ośrodku skazany jest na eklektyzm. Może to być eklektyzm repertuarowy, którego rzeczywistość trudno uniknąć ze względu na różnicowane potrzeby miejscowego widza, ale nie musi to być eklektyzm artystyczny. I tego zarzutu nie można wysuwać pod adresem teatru olsztyńskiego. Przekonaliśmy się o tym i przed rokiem, i w czasie obecnej sesji Klubu Krytyki Teatralnej SDP.

Zacznijmy od małej sceny na której obejrzelśmy „Czworokąt” Redlińskiego, „Dzień dobry i do widzenia” Fugarda i „Pelikana” Strindberga.

Redliński należy do autorów modnych. Moda na Redlińskiego, obok niewątpliwych walorów jego pisarstwa wynika z zainteresowania widza tą sferą obserwacji autora, która głębiej niż przypuszczamy, kształtuje społeczna rzeczywistość współczesnej Polski. Sfera ta obejmuje przemiany socjologiczne, tworzenie się nowego kształtu naszej inteligencji itp. W „Czworokącie” oglądamy efekty zderzenia ideałów wyniesionych w młodości z pokusami jakie niesie nowa sytuacja, ciężko zapracowane awans społeczny i materialny. „Czworokąt” jest komedią zreszcie napisaną, zabawna i złośliwa. W Olsztynie potraktowano ją zbyt serio dając jednocześnie kilka karykatur dość schematycznych i przesadnie wyostrające konflikty. Nie dało to najlepszych efektów.

Nie jestem entuzjastą Fugarda a jego „Dzień dobry i do widzenia” jest sztuką pretensjonalną, histeryczną, sięgającą po wyeksploatowany już temat osamotnienia młodych ludzi w okrutnym świecie wielkich miast. Takie dramaty się zdarzają, może są nawet częstsze niż nam się wydaje, ale sztuka razła pustką myślową przysionętą pozorami refleksji psychologicznej i zreżną konstrukcją dramaturgiczną. Reżyser i aktorzy zrobili wiele, żeby przedstawienie było dobre, przyspieszyli tempo i zastrzyli konflikty, lecz przy okazji zbyt wyraziście zaznaczyli ekshibicjonizm moralny swoich bohaterów.

O ile Fugard przechodzi już bezpowrotnie do przeszłości, to „stary” Strindberg przeżywa ponowne triumfy, nie tylko zresztą na scenach Skandynawii. Teatr olsztyński przypomniał rzadko granego u nas „Pelikana”. Mocność zła jakie wyrządzają sobie w sztukach tego pisarza bohaterowie połączeni bliskimi węzłami krwi ma oczywiście podłoże społeczne. Ale to nie wszystko tłumaczy. Reżyser „Pelikana” Andrzej Koper mądrze wierny autorowi osadza mocno przedstawienie w realiach epoki podkreślając jednocześnie wszystko co w tej sztuce ponad swój czas i obyczajowość wyrasta i jest niestety trwałe. Podtrzymują to aktorzy

Matka — Danuty Markiewicz pozornie wyjąłowana z uczuć macierzyńskich, zajęta sobą, swoimi awersjami i namietnościami dochodzi do ostatecznej granicy zła i katastrofy. Podobnie jej dzieci: Córka — Ewa Nijaki i Syn — Cezary Sokołowski, nienawidzący matki; bezradnie samotni, osaczeni a więc i skażeni przez atmosferę, która ich ogarnia. I wreszcie niemal personifikacja zła w postaci Ziędła (Aleksander

(Małgorzata Jakubiec) — są zaśluga i aktorów, i reżysera. Tworzą one światłe pozorów, konwensów i swoistego okrucieństwa, które prowokuje bierność Iwony. Na tym tle ciekawie i oryginalnie ujawnia się bohaterka tytułowa: Iwona — Małgorzata Perczyńska. Jest rzeczywistość jak chciał Gombrowicz „rozlazła, apatyczna, słabowita, nieśmiała, nudna i trwożliwa”. Tak, ale to tylko pozory.

W rzeczywistości Iwona przeżywa w tym przedstawieniu moralnie całe swoje otoczenie. To ona a nie dworska kamaryla jest autentyczna, umiejacą przeżywać miłość, choć tego nie uzewnętrznia. Musi zginać, bo jest inna. Przyjmuje swoją śmierć godnie, gdy pochyla głowę, a potem nikt nie pod obrusem-całunem i wtedy następuje ostateczna demaskacja królewskiego dworu, ludzi wysoko usadowionych za biesiadnym stołem, który był zarazem królewską trybuną. A potem znów mamy festyn.

Przedstawienie doskonale skomponowane reżysersko wspierała dobrze scenografia a przede wszystkim kostiumy Krystyny Kramer i muzyka Jerzego Satanowskiego.

Na zakończenie olsztyńskich spotkań zobaczyliśmy przedstawienie „Grzegorz Niezguly” Mollera w przekładzie, inscenizacji i reżyserii Bogdana Korzeniowskiego. Piękną a przy tym funkcjonalną scenografię skomponował Krzysztof Pankiewicz. Świetny przekład, przedstawienie do wzięcia i kulturalne, dobrze wydobite przenikanie się sytuacji komediowych i satyrycznych, to wszystko można zapisać na korzyść wieczoru. Ale niestety zabrakło finezji i lekkości, o co nie można mieć pretensji do reżysera.

Spotkanie z teatrem olsztyńskim potwierdzało opinię, że jest to teatr ambitny nie tylko repertuarowo, dobry pod względem reżyserskim, opierający się na zespole młodym i niesłuchanie pracowitym, co wynika choćby z ilości przedstawień i premier, o czym pisaliśmy już w notatce informacyjnej.

JÓZEF SZCZAWIŃSKI

Teatr

Wysocki). Chłód, pustka, ciemność i niewidzialny, ale przecież oczywisty plomień wchłaniający wszystko w finale — zostały wydobyte również i przez scenografię Wandy Czaplanki.

Ana dużej scenie? Pierwszy wieczór pominię. „Dziady” Mickiewicza w inscenizacji i reżyserii Henryka Baranowskiego nie były przedstawieniem dokończonym i być może powrócimy do nich przy innej okazji. Baranowski zapisał się w pamięci widzów i krytyków kilkoma doskonałymi realizacjami m.in. „Zamku” Kafki i „Iwony księżniczki Burgunda” Gombrowicza. Urok i trafność tego przedstawienia wyrasta z połączenia walorów widowiskowych z docierającą do widza w sposób klarowny, ale nie uproszczony, refleksyjną warstwą utworu. Na scenie wiele się dzieje. Operowy Jontek wyśpiewuje swoje arie w najbardziej zdawałoby się niestosownych momentach, maszeruje 10-osobowa orkiestra dęta PKP. Ciągną karnawałowo-błażenkie korowody dworaków, czają się niezaradni kamerdynerzy-tajniacy. To wszystko jest bardzo zabawne. Zabawny wydaje się też Król — pantoflarz dobrze zagrany przez Henryka Dłużańskiego, który jest w efekcie ostatecznie (król a nie aktor) całkiem zwykłym draniem. Dobre role: zblazowanego księcia Filipa (Jan Peczek), Szambelana (Roman Michalski), Królowej



Scena z przedstawienia „Iwony księżniczki Burgunda”. W środku Małgorzata Perczyńska w roli tytułowej. Fot. — T. Trepanowski